

James Tiptree, jr
Ostatni lot doktora Aina

Doktora Aina rozpoznano w czasie lotu na trasie Omaha - Chicago. Jego kolega, biolog z Pasadeny, wychodzący z toalety zauważył go siedzącego na jednym z miejsc od strony przejścia. Jeszcze pięć lat temu człowiek ten zazdrościł Ainowi jego znacznych dotacji, ale teraz skinął mu tylko obojętnie głową i zdumiał się gwałtownością reakcji Aina. Miał już nawet zawrócić i chwilę porozmawiać, ale był zbyt zmęczony; jak niemal wszyscy walczył z atakującą go gripą. Stewardesa rozdająca po lądowaniu płaszcze również zapamiętała Aina: wysokiego, szczupłego, nie rzucającego się w oczy mężczyznę o rudawych włosach. Wstrzymał przesuwanie się kolejki wpatrując się w nią przez dłuższą chwilę, a że dostał już swój płaszcz, uznała to za nieudolną próbę podrywu i przynagliła go uprzejmym gestem, żeby przechodził. Ain zniknął w spowijającym lotnisko smogu; najwyraźniej był sam. Mimo rzucających się w oczy wezwań Obrony Cywilnej O'Hare ociągano się z zejściem pod ziemię. Nikt nie zauważył kobiety. Chorej, umierającej kobiety.

W drodze do Nowego Jorku Ain nie został zidentyfikowany, ale na liście

pasażerów samolotu startującego o 14.40 znajdowało się nazwisko "Ames",

będące najprawdopodobniej przekreślonym "Ain". Tak też było w istocie.

Samolot krążył przed lądowaniem niemal godzinę, Ain zaś obserwował to

pojawiającą się, to znów niknącą w jednostajnych odstępach czasu zasnętą mgłą powierzchnię morza.

Kobieta była już znacznie słabsza. Zakasłała, unosząc z wysiłkiem dłonie

do pokrytej strupami, przesłoniętej częściowo długimi włosami twarzy. Jej

włosy, zwrócił uwagę Ain, do niedawna tak wspaniałe i gęste, spłwiałały i

wyraźnie się przerzedziły. Wyjrzał przez okno, na morze, zmuszając swój

umysł do wywołania obrazu czystych, zimnych fal. Na horyzoncie dostrzegł

dużą, czarną plamę; znów jakiś tankowiec otworzył wszystkie zawory.

Kobieta ponownie zakasłała. Ain zamknął oczy. Samolot wleciał w smog.

Po raz kolejny zwrócono na niego uwagę, gdy zgłosił się do odprawy

przed odlotem maszyny linii BOAC do Glasgow. Klimatyzacja nie potrafiła

sprostać temperaturze tego gorącego, wrześniowego popołudnia, toteż

podziemne lotnisko Kennedy'ego przypominało kocioł z powoli gotującą się

zawartością. Spoceni, przestępujący z nogi na nogę
pasażerowie gapili się
tępo na gazetę świetlną. RATUJMY OSTATNIE OAZY
ZIELENI! protestowała jakaś
grupa przeciwko eksploatacji i osuszaniu Amazonii. Wielu
pasażerów
przypomniało sobie wspaniałe, kolorowe zdjęcia z próbnej
eksplozji
najnowszej, "czystej" bomby. Rozstąpiono się, robiąc
przejście dla grupy
umundurowanych mężczyzn. Na guzikach mieli napisy:
CZY KTOS SIĘ BOI?
Wtedy właśnie Ain został zauważony przez pewną
kobietę, która
usłyszała szelest trzymanej przez niego w drżących rękach
gazety. Nikt z
jej rodziny nie został jeszcze dotknięty epidemią grypy,
toteż spojrzała
nań szybko, a ujrawszy jego pokryte kropelkami potu
czoło czym prędzej
kazała swoim dzieciom odsunąć się od niego tak daleko,
jak to tylko było
możliwe.
Zapamiętała, że używał dezynfekującego rozpylacza do
gardła firmy
"Instac". O "Instacu" nie miała najlepszego zdania - w jej
rodzinie zawsze
kupowano "Kleer". Kiedy mu się przyglądała, Ain
niespodziewanie się
odwrócił i spojrzał jej prosto w twarz; obłok rozpylonej w
powietrzu
cieczy popłynął w jej stronę. Co za maniery! Czym
prędzej odwróciła się do

niego plecami. Nie przypominała sobie, by rozmawiał z jakąś kobietą, ale nadstawiła uszu, gdy sprawdzający personalia pasażerów urzędnik odczytał na głos cel podróży Aina. Moskwa!

Urzędnik również to sobie przypomniął, aczkolwiek z mieszanymi

uczuciami. Ain zgłosił się do odprawy biletowej sam.

Żadna ze znajdujących

się na pokładzie tego samolotu kobiet nie leciała do Moskwy, ale mogło być

i tak, że któraś z nich miała oddzielny bilet na każdy z etapów swojej

podróży. (To niemal pewne, że wtedy już z nim była.)

Trasa lotu wiodła przez Islandię, z jednogodzinnym postojem w

Keflaviku. Ain przechadzał się po niewielkim parku znajdującym się na

terenie lotniska, łapczywie wdychając przesycone zapachem morza powietrze.

Co kilka oddechów jego ciałem wstrząsał silny dreszcz. Mimo ryku silników

pracujących buldożerów słychać było, jak morze uderza swymi wielkimi

łapskami w klawiaturę brzegu. W parku znajdował się
niewielki zagajnik
pożółkłych brzózek, w którym przysiadło stado
szykujących się do długiego
lotu białorzytek. Za miesiąc będą już w Północnej Afryce,
pomyślał Ain.

Dwa tysiące mil machania małymi skrzydełkami. Sięgnął
do kieszeni i rzucił
im garść okruchów.

Kobieta jakby nabrała nieco sił. Ze wzrokiem
utkwionym w Ainie ciężko
wdychała wiejący od morza wiatr. Brzozy nad nią były
równie złote jak te
rosnące tam, gdzie ją po raz pierwszy zobaczył, tego dnia,
kiedy zaczęło

się jego życie... Siedział skulony pod krzywym pniem
drzewa i przypatrywał

się maleńkiej ryjówce, kiedy nagle coś zaszeleściło w
otaczającej go

zieleni i spomiędzy paproci wyszła wprost na niego naga
dziewczyna o

białym, naznaczonym różowością ciele. Młody Ain
wstrzymał oddech, wtulając

twarz w słodko pachnącą trawę; czuł, że serce wali mu w
piersi jak

oszałałe. A potem patrzył już na kaskadę włosów
spływających po wąskich

plecach aż do układających się w kształt serca pośladków,
nieświadom, że

ryjówka przebiegła mu właśnie po zdętwiałej dłoni.
Jezioro, odbijające w

swej zmętniałej srebrnej tafli mgliste niebo, było zupełnie
spokojne;

plywające po powierzchni złociste liście zakołysały się nie bardziej, niż

gdyby do wody wszedł niepostrzeżenie wodny szczur. Po chwili znowu zapadła

cisza, w której znaczące ślad przejścia nagiej dziewczyny drzewa odbijały

się niczym płonące pochodnie, w błyszczących oczach Aina. Przez chwilę

wierzył, że właśnie zobaczył oreadę.

Ain wszedł jako ostatni na pokład samolotu odlatującego do Glasgow.

Stewardesa przypominała sobie mgliście, że wydawał się jakiś niespokojny.

Nie potrafiła zidentyfikować kobiety. Na pokładzie było wiele kobiet i

dzieci, a lista pasażerów zawierała bardzo dużo błędów.

Kelner z restauracji portu lotniczego w Glasgow pamiętał, że człowiek

o wyglądzie Aina zamówił szkocką owsiankę i zjadł jej dwie porcje,

choć, rzecz jasna, nie była to wcale owsianka. Młoda matka z wózkiem

widziała, jak okruchami karmił ptaki.

Gdy zgłosił się z biletem do stanowiska BOAC, spotkał znajomego

profesora z Glasgow, który udawał się na tę samą konferencję do Moskwy.

Profesor ów był niegdyś jednym z nauczycieli Aina. (Wiadomo już teraz

było, że po ukończeniu studiów Ain pracował naukowo w Europie.) Rozmawiali

przez cały czas lotu na Morzem Północnym.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział później profesor. - "Dlaczego lecisz okrężną drogą?" zapytałem. Powiedział mi, że wszystkie bilety na loty bezpośrednie były już wykupione.

(Okazało się to kłamstwem. Najprawdopodobniej Ain leciał okrężną drogą do Moskwy po to, by pozostać niezauważonym.)

Profesor z uznaniem wypowiadał się na temat osiągnięć naukowych Aina.

- Wybitny? Och, z pewnością. I do tego uparty. Bardzo, ale to bardzo

uparty. Nieraz zdarzało się, że jakaś koncepcja czy nawet najniewinniejsze

skojarzenie potrafiło go tak zafascynować, że zamiast zostawić to na

później i przejść do tego, co powinien robić, jak uczyniłby na jego

miejscu każdy potulny umysł, zatrzymywał się i w nieskończoność węszył

dookoła. Jeśli mam być szczery, to z początku podejrzewałem, że jest po

prostu niezbyt lotny, ale pamiętacie przecież, kto powiedział, że zdolność

zastanawiania się nad powszednimi rzeczami dana jest tylko niepowszednim

jednostkom? Sprawdziło się to, rzecz jasna, kiedy zastrzelił nas

wszystkich tą historią z przemianą enzymów. Szkoda, że wasz rząd zakazał

mu wtedy kontynuowania badań nad tym zagadnieniem. Nie, młody człowieku,

on mi o tym nic nie mówił. Właściwie to rozmawialiśmy głównie o mojej pracy. Byłem zaskoczony widząc, że nie stracił kontaktu z przedmiotem.

Zapytał mnie, jakie żywię w związku z tym u c z u c i a, czym, muszę

powiedzieć, znowu mnie zaskoczył. Nie widziałem człowieka pięć lat, to

fakt, ale wydał mi się taki jakiś... zmęczony? Z drugiej strony, kto teraz

nie jest? Jestem pewien, że był zadowolony z odmiany - korzystał z każdej

przerwy w locie, by trochę rozprostować nogi. W Oslo, nawet w Bonn. Tak,

karmił ptaki, ale on zawsze lubił to robić. Jego życie towarzyskie w

okresie, w którym go bliżej znałem? Jakies radykalne przyczyny? Młody

człowieku, to co powiedziałem do tej pory, to wyłącznie przez wzgląd na

osobę, która pana mi przedstawiła, ale teraz czuję się zmuszony zwrócić

panu uwagę, że rzucanie na Charlesa Aina jakichkolwiek podejrzeń jest z

pana strony impertynencją. Żegnam pana.

Profesor nie powiedział ani słowa o roli tej kobiety w życiu Aina.

Zresztą nawet by nie mógł, aczkolwiek Aina łączyły z nią intymne

stosunki jeszcze w jego okresie uniwersyteckim. Nie pozwolił, by

ktokolwiek się domyślił, do jakiego stopnia stała się jego obsesją, jak

bardzo był oczarowany bogactwem jej ciała, jej wiecznym nienasyceciem.

Spotykali się zawsze, gdy tylko miał chwilę czasu - czasem publicznie,

wobec przyjaciół udając nieznajomych, z wyznaczoną konwenansami powagą,

lecz pochłaniając się nawzajem wzrokiem. Potem już tylko we dwoje... cóż

za intensywność miłości! Rozkoszował się nią, brał ją, nie pozwalał jej,

by miała przed nim najmniejsze nawet sekrety. W swoich snach widział

wyłącznie słodkie źródła, rozkoszne cienie i jaśniejące w świetle

księżycy, zaokrąglone cudowności jej ciała, i jego szczęście znajdowało

coraz to nowe wymiary, w których mogło rozkwitać.

W śpiewie ptaków i rozkosznym szemraniu łąk niebezpieczeństwo choroby

było odległe i nierealne. Owszem, czasem zdarzało się jej zakasłać, ale

jemu też. Nie potrafił się wtedy zmusić, by zająć się dokładnymi badaniami

choroby.

Podczas konferencji w Moskwie niemal każdy wcześniej czy później

zwrócił uwagę na Aina, co nie było niezwykle, zważywszy na jego zawodową

reputację. Konferencja nie była zbyt liczna, ale miała duży ciężar

gatunkowy.

Ain nieco się spóźnił; pierwszy dzień obrad już się zakończył, a jego

referatu miano wysłuchać ostatniego, trzeciego dnia obrad.

Wiele osób rozmawiało z Ainem, sporo też jadło z nim posiłki. Nikogo

nie dziwił fakt, że mówił mało; zawsze taki był, może z wyjątkiem kilku

pamiętnych, gorących dyskusji. Natomiast niektórzy z jego przyjaciół

odnieśli wrażenie, że jest jakby trochę zmęczony i nadpobudliwy.

Pewien hinduski inżynier jądrowy zauważył, że Ain używa rozpylacza do

gardła, i zażartował, że doktor przywłókł na obrady azjatycką grype.

Szwedzki znajomy Aina przypomniał sobie, iż podczas obiadu odwołano

doktora do telefonu zza oceanu; kiedy wrócił, nie nagabywany przez nikogo

powiedział, że coś zginęło z jego domowego laboratorium. Ktoś rzucił jakąś

żartobliwą uwagę, na którą Ain odparł z uśmiechem: - Istotnie, to coś

bardzo aktywnego.

W tym momencie jeden z chińskich biologów rozpoczął swoją codzienną

śpiewkę propagandową o broni bakteriologicznej i zarzucił Ainowi, że ten

zajmuje się tworzeniem takowej. Ain uziemił go, stwierdzając z niezmaconym

spokojem: - Ma pan zupełną rację.

Na mocy cichego porozumienia nie rozmawiano w ogóle o zastosowaniach

militarnych, zanieczyszczeniach przemysłowych i temu podobnych sprawach.

Nikt również nie mógł sobie przypomnieć, by widział Aina w towarzystwie jakiegokolwiek kobiety oprócz starej madame Vialche, która w żaden sposób nie mogła nikogo zwerbować poruszając się wyłącznie na wózku inwalidzkim.

Referat Aina był słaby, nawet jak na niego. Co prawda doktor nigdy nie dysponował szczególnymi umiejętnościami oratorskimi, ale jego myśli zawsze wyrażane były w klarowny, właściwy wybitnym umysłem sposób. Tym razem jednak wydawało się, że był lekko rozkojarzony i nie miał wiele nowego do powiedzenia. Słuchacze uznali, że czyni tak umyślnie, ze względów bezpieczeństwa. Ain dotarł wreszcie do niezmiernie pogmatwanej części swego wystąpienia, dotyczącej przebiegu ewolucji, w której starał się usilnie zwrócić uwagę na coś, co wyglądało nie tak, jak powinno. Kiedy zaczął mówić o "ptakach, śpiewających dla kolejnej rasy" w umysłach wielu słuchaczy narodziło się podejrzenie, czy aby prelegent nie jest pijany.

Jednak pod koniec wystąpienia Ain wygadał się naprawdę: niespodziewanie zaczął przedstawiać metodę, jakiej użył do zmutowania i przekonstrowania wirusa białaczki. Wyjaśnił wszystko od A do Z w czterech

zdaniach, przerwał na chwilę, po czym zwięźle opisał skutki działania zmutowanego wirusa, najwyraźniejsze u wyższych naczelnych. Przeżywalność u niższych ssaków i innych zwierząt była bliska 90%. Jako nosiciel, kontynuował, może służyć każde zwierzę ciepłokrwiste. Co więcej, wirus potrafi przeżyć praktycznie w każdym środowisku i znakomicie przenosi się drogą powietrzną. Wskaźnik zaraźliwości jest niezmiernie wysoki. Zupełnie mimochodem Ain dodał jeszcze, że żadna z tresowanych małp naczelnych ani nikt z zarażonych przypadkowo ludzi nie przeżył dłużej niż dwadzieścia dwa dni.

Po tych słowach zapadła martwa cisza, przzerwana dopiero przez delegata z Egiptu, który rzucił się na oślep do drzwi. W chwilę potem to samo uczynił jeden z Amerykanów, przewracając pozłaczany fotel.

Ain w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że wprowadził słuchaczy w stan bardzo przypominający całkowity paraliż. Wszystko stało się tak szybko: człowiek wydmuchujący właśnie nos zamarł w bezruchu, wytrzeszczając przed siebie oczy znad rozłożonej chusteczki; inny, zapalający właśnie fajkę, ocknął się dopiero wtedy, gdy płomień sparzył mu palce. Dwaj mężczyźni

siedzący w pobliżu drzwi zajęci byli rozmową i nie usłyszeli ani słowa z tego, co powiedział Ain. Ich śmiech zabrzmiał głucho w niesamowitej ciszy, zagłuszając ostatnie zdanie doktora: "...naprawdę nie ma żadnego sensu".

Później okazało się, że Ain wyjaśnił, iż wirus wykorzystuje mechanizm odpornościowy organizmu, toteż wszelkie próby obrony przed nim są już z założenia skazane na niepowodzenie.

I to było wszystko. Ain zaczął przez chwilę na pytania, po czym zszedł z podium i ruszył przejściem między rzędami krzeseł. Kiedy dotarł do drzwi, słuchacze ocknęli się już na tyle, by wstać z miejsc i ruszyć gromadnie w jego kierunku. Odwrócił się na pięcie i powiedział cierpko:

- Tak, oczywiście, że to bardzo niedobrze. Już to wam mówiłem. Wszyscy się myliliśmy. A teraz to już koniec.

Godzinę później okazało się, że zniknął, najprawdopodobniej wsiadłszy do samolotu linii Sinair lecącego do Karaczi.

Ludzie z bezpieczeństwa dopadli go w Hong Kongu. Wyglądał już wtedy na bardzo chorego i nie stawiał im żadnego oporu. Ruszyli w drogę do Stanów via Hawaje.

Jego opiekunowie byli ludźmi na poziomie; widzieli, że zachowuje się

spokojnie, i odpowiednio go traktowali. Nie miał przy
sobie żadnej broni
ani narkotyków. W Osace założyli mu na ręce kajdanki i
wyprowadzili na
spacer, pozwolili trochę pokarmić ptaki i z
zainteresowaniem wysłuchali
informacji o trasach przelotu brodziec piskliwego. Ain był
bardzo
zachrypnięty. Wówczas chodziło jeszcze tylko o względy
bezpieczeństwa,
które naruszył. Kobieta w ogóle się nie zajmowano.
Niemal cały lot na Hawaje spędził drzemiąc, ale gdy
wyspy pojawiły się
na horyzoncie, obudził się, przycisnął twarz do szyby i
zaczął coś do
siebie mrużyć. Siedzący za nim funkcjonariusz usłyszał
coś o jakiejś
.kobiecie, i włączył magnetofon.
- ...błękit, błękit i zieleń, i dopiero pod spodem rany.

Moja

dziewczynko, moja śliczna, ty nie umrzesz. Nie pozwolę ci
umrzeć. Mówię
ci, moja droga, to już koniec... Popatrz na mnie tymi
błyszczącymi oczami,
niech zobaczę, że znowu żyją! Moja słodka królowno,
moja dziewczyneczko,
czy udało mi się ciebie ocalić? Jak straszne i szlachetne to
dziecię
Chaosu w zielonej szacie, błękicie i złocie... wirująca
kulka życia,
zupełnie sama w ogromnym Kosmosie... Czy udało mi się
ciebie ocalić?

Podczas ostatniego etapu podróży najwyraźniej już majaczył.

- Być może udało się jej mnie oszukać, wie pan? - szepnął

konfidencyjnie do ucha siedzącego przy nim funkcjonariusza. - Musicie

być na to przygotowani. Znam ją! - Zachichotał cicho. - Nie jest z nią

łatwo. Ale bądźcie twardzi...

Nad San Francisco opanował go radosny nastrój.

- Wiecie, że wydry znowu się tu pojawią? Jestem tego pewien. Kiedyś

znowu tu będzie prawdziwa zatoka.

W bazie lotniczej Hamilton położono go na nosze. Wkrótce po starcie

zaczął tracić przytomność. Uparł się, by pozwolono mu wyrzucić na pole

reszkę karmy dla ptaków.

- Ptaki, jak pan wie, są ciepłokrwiste - zwrócił się do agenta, który

przykuwał go kajdankami do noszy, po czym uśmiechnął się łagodnie i

stracił świadomość. Pozostał w tym stanie niemal przez całe ostatnie

dziesięć dni życia. Nikt już, rzecz jasna, specjalnie się tym nie

przejmował. Obydwaj funkcjonariusze zmarli bardzo szybko, wkrótce po

zakończeniu badań karmy dla ptaków i rozpylacza do gardła. Kobieta z

lotniska Kennedy'ego poczuła, że coś z nią niedobrze.

Magnetofon, który pozostawili przy jego łóżku, działał bez przerwy,

ale gdyby nawet znalazł się ktoś, kto by chciał przesłuchać taśmę, nie

usłyszałby nic poza niewyraźnymi majaczeniami.

- Gaea Gloriatrice - zawodził. - Geo, dziewczynko, królowo... Chwilami

był majestatyczny w swoim udęczeniu: - Nasze życie, twoja śmierć! -

krzychał. - Nasza śmierć mogłaby być też twoją, ale nie trzeba, nie

trzeba...

Kiedy indziej znowu oskarżał:

- Co zrobiłaś z dinozaurami? - pytał. - Denerwowałaś cię? Jak je

załatwiłaś? Zimno. Królowo, jesteś zbyt zimna! Niewiele ci tym razem

brakowało, moja dziewczyno - majaczył, po czym szlochał i z rozrzewnieniem

gładził pieszczotliwie pościel.

I dopiero na samym końcu, kiedy spragniony i brudny leżał przykuty

tam, gdzie go zostawiono o i nim zapomniano, zaczął mówić z sensem.

Swobodnym, lekkim tonem chłopaka planującego z dziewczyną wyjazd na letni

piknik zadał magnetofonowi pytanie:

- Czy myślałaś o niedźwiedziach? Mają tak wiele...

Zabawne, że jakoś

się wyżej nie posunęły. Dziewczyno, czyżbyś próbowała je ocalić?

Po czym zachichotał z głębi swego zniszczonego gardła i wkrótce potem

umarł.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik